

ANNA RYBAKIEWICZ

Autorka bestsellerów: „Lekarka nazistów”
i „Do końca moich dni”.

OCALENI DLA MIŁOŚCI

— ❁ —
W IMIĘ MIŁOŚCI
CZŁOWIEK ZDOLNY JEST
DO WSZYSTKIEGO.

FILIA

ANNA RYBAKIEWICZ

OCALENI
DLA
MIŁOŚCI

FILIA

*Mamie – mojej pierwszej i największej fance.
Tacie – który zawsze oddaje mi najlepsze grzyby ze swojego koszyka*

ROZDZIAŁ 1

Śniadowo, 1 listopada 1942 roku

– *Ite, Missa est...*

Nie czekając na dokończenie zdania przez kapłana, przeżegnałam się pośpiesznie i dałam znak siedzącej obok mamie, że pora opuścić kościół. Matka zganiła mnie wzrokiem za ten pośpiech, a następnie wręcz teatralnie przeciągała w czasie ruchu ręki kreślące znak krzyża. Postanowiłam na nią nie czekać. Chciałam jak najszybciej znaleźć się na zewnątrz, zanim nastąpi wielkie poruszenie i cały tłum miejscowych ludzi rzuci się do wyjścia. Szybkim krokiem podeszłam do metalowych drzwi i oparłam się o nie całym ciężarem swojego ciała, nie dając szansy stojącym obok mężczyznom, którzy zrobili już pierwszy krok w moją stronę, gotowi pomóc młodej dziewczynie. Nie zdawałam sobie nawet sprawy, jakie zamieszanie robiłam w przedświątecznym kościele. Zresztą nigdy nie zależało mi na uwadze okolicznych kawalerów, którzy przybywali licznie do świątyni w każdą niedzielę, w odświętnych koszulach, z nadzieją na poznanie swojej przyszłej małżonki.

Cotygodniowe msze były świetną okazją do wymiany ukradkowych spojrzeń czy posłania wybrankowi niewinnego uśmiechu z nadzieją na kontynuację znajomości. Ale nie dla mnie... Mojego ukochanego tutaj nie było.

Chwilę trwało, zanim udało mi się otworzyć ciężkie drzwi kościoła, które stanowiły dla drobnej dziewczyny nie lada wyzwanie. W momencie, w którym ustąpiły pod naporem mojego ciała, oślepił mnie blask słońca. Jak na pierwszy dzień listopada było wyjątkowo słonecznie i ciepło. Tego dnia, patrząc na puste niebo, którego nie przecinał żaden ślad wojskowego samolotu, można było zapomnieć o trwającej już ponad trzy lata wojnie. Dopiero kierując wzrok na ziemię, niezależnie od tego, na co się w danym momencie spojrzeło, wszystko nieustannie przypominało o wielkiej biedzie i czyhającej zewsząd śmierci. Z tego powodu nie wzbraniałam się przed promieniami słońca. Pomyślałam nawet, że aura postanowiła pomóc mi w realizacji dzisiejszego planu. Tak jak to sobie wcześniej zaplanowałam, założyłam tego dnia swoją najlepszą sukienkę, która wyszła spod ręki matki zaledwie kilka dni przed wybuchem wojny. Uszyta była z drogiego, zielonego materiału, na który z pewnością nie moglibyśmy sobie teraz pozwolić. Jak to nie omieszkała wytknąć mi matka przed wyjściem z domu, sukienka była trochę zbyt cienka jak na jesień, ale nie miałam innego wyjścia. Tylko tak ubrana mogłam dokonać cudu,

a właśnie cudu potrzebowalam. Wyłącznie prawdziwe zrządzenie losu sprawi, że nikt nie pociągnie za spust, że... oboje to przeżyjemy. Chciałam odegnać złe myśli, odruchowo potrząsnęłam głową w nadziei, że zniknie wizja zielonej sukienki nasiąkającej moją własną krwią. Pośpiesznie zeszałam ze schodków kościoła, a wkoło rozległ się stukot moich obcasów.

– Henia! Gdzieś ty tak wyrwała dziewczyno?! Zaczekaj na matkę, ja wiem, że to wstyd dla takiej panny jak ty iść z matką pod rękę, ale po co od razu tak pędzić, jeszcze obcasy sobie pozdzierasz, a o nowych butach nawet nie masz co marzyć. Ojciec ci powiedział przecież, że w tych butach masz pod ołtarz iść ślubować, więc twoja wola, jak one będą wyglądać – mama głosiła swoje własne kazanie. – Henia, no czekaj, posłuchaj mnie przez chwilę!

– Mamo, po pierwsze nie wstydzę się ciebie, a po drugie śpieszę się, mówiłam ci wczoraj, że wybieram się po mszy do Łomży. Pan Łada jedzie akurat wozem do miasta.

– Do getta chyba chciałaś powiedzieć... – poprawiła ją matka ściszym głosem. – Heniu, dziecko, rozmawialiśmy już na ten temat.

– Nie mamo, nie rozmawialiśmy, ja tylko słuchałam, a ty i tata mówiliście.

– Heńka! – krzyknęła matka trochę zbyt głośno, czym wzbudziła zainteresowanie starszych pań opusz-

czających kościół jako ostatnie. – Teraz na pewno wezmą nas na języki. Tego chciałaś?

– Mamo, śpieszę się. Zrozum, pan Łada to nasz sąsiad i nie pozwoli, żeby coś mi się stało. Poza tym on jeździ tam w każdą niedzielę z sianem, więc moja obecność nie wzbudzi żadnych podejrzeń.

– Henia, czy ty wiesz, co tam się dzieje? Przecież tam nieustannie jakaś epidemia wybucha. Ludzie gadają, że teraz jest tam tyfus. Pojedziesz, zarazisz się i...

– Umrę?

– Umrzesz – potwierdziła, ściskając mnie mocno za rękę, jakby chciała, żeby jej słowa rzeczywiście do mnie dotarły.

– Oni właśnie umierają, mamo.

– Henia, proszę cię, pomyśl o sobie! Z ojcem mamy tylko ciebie i nawet...

– A twoja koleżanka Złata Brzozowska i jej dzieci? Już o nich zapomniałaś? – przerwałam jej, wiedząc, że to mój najlepszy argument.

Już po chwili pożałowałam swojego surowego tonu. Oczy matki posmutniały, zobaczyłam w nich żal i bezsilność. Mama i Złata wychowały się praktycznie na jednym podwórku. Od dziecka zawsze trzymały się razem. Nie było żadnej różnicy, czy w danej chwili przebywały u rodziny jednej czy drugiej z nich, w obu domach czuły się jak u siebie. Potem, pomimo że miały już swoje własne rodziny, to każdą wolną chwilę Lodzia i Złata dalej

spędzały razem. Wszystko zmieniło się jesienią 1939 roku i to za sprawą jednego człowieka, a potem było już tylko gorzej... Zgodnie z niemieckimi rozkazami 12 sierpnia 1941 roku wszyscy okoliczni mieszkańcy narodowości żydowskiej mieli udać się do Łomży, do specjalnie wydzielonej dla nich dzielnicy.

Gdy rok temu w sierpniu Złata odjeżdżała na wozie z rodziną do getta, mama nie wyszła na ulicę, jak pozostali sąsiedzi. Siedziała w domu. Nie miałam odwagi jej wtedy zapytać, czemu nie poszła się pożegnać. Pamiętam jednak, że noc przed ich wyjazdem, gdy tata już dawno spał, mama wyszła, niosąc w ręku część swojej biżuterii zawiniętą w jej najlepszą chustę. Wróciła po dłuższej chwili z pustymi rękoma.

– Henia, myślisz, że ja głupia jestem, że ja nie wiem? Tobie nie chodzi ani o Złatę, ani o resztę. Ty jedziesz tam jego zobaczyć...

W duchu dziękowałam Bogu, że matka nie wymówiła jego imienia. Gdybym je usłyszała... Gdyby ktoś wypowiedział je na głos, to nic już by nie powstrzymało łez, które tylko czekały, aż je w końcu uwolnię. Dobrze znane mi uczucie rozpaczony zawładnęłoby do reszty moim ciałem, a dziś już nie czas i nie miejsce na to. Musiałam bez reszty skupić się na wykonaniu tego, co do mnie należy. Plan był prosty. Może zbyt prosty. Każdy wiedział, co ma robić. Mimowolnie skierowałam głowę z powrotem do słońca, licząc, że osuszy łzy spod moich

powiek. Poczułam delikatny powiew wiatru, który za-
trzepotał zieloną sukienką...

Drewniany dom stał przy kamiennej ulicy w samym centrum Śniadowa, nie wyróżniał się niczym spośród okolicznych budynków. Wejście było bezpośrednio z drogi. Obok drzwi stała drewniana ławka – znak lepszych czasów, znak przeszłości. Zanim wybuchła wojna, wszyscy sąsiedzi schodzili się do nas praktycznie każdego wieczoru. Polak czy Żyd, bez znaczenia, każdy lubił słuchać niezliczonych opowieści mojego ojca. Nie wiem tylko, czy jego historie były prawdziwe, czy zaczerpnięte z książek, które czytał jedna za drugą. Jednak dzięki tym opowieściom mieliśmy namiastkę kontaktu ze światem i wieczorne towarzystwo sąsiadów.

Tata był synem dziedziców z sąsiedniej wioski. Dziadek nigdy nie żałował na edukację syna, dlatego jako jedyny w okolicy umiał pisać i czytać, ale gdy potajemnie wziął ślub z moją matką, wszystkie więzi rodzinne zostały zerwane, a cały majątek otrzymał młodszy brat ojca. Dziadkowie nigdy nie pogodzili się z tym mezaliansem, więc tacie nie zostało nic innego, jak zostać listonoszem, a na złość rodzicom chyba naprawdę to lubił. Znał też niemiecki, a dzięki niemu znałam go również ja. Początkowo przeklinałam te godziny spędzone nad książkami, a teraz w duchu dziękowałam Bogu, że opatrzność nade mną czuwała i poznałam język wroga.

Minęliśmy pustą ławkę i weszliśmy do środka. Przez frontowe, zdobione drzwi wchodziło się do małej sieni, w której na wprost znajdowały się schody na strych. Po lewej i prawej stronie były drzwi. Lewe prowadziły do pomieszczeń zajmowanych przez jego rodzinę, a za prawymi mieszkała moja trzyosobowa rodzina. Mieliśmy do dyspozycji kuchnię i pokój. Ja spałam w pierwszej izbie wciśnięta, pomiędzy stołem a kafłową kuchnią, a rodzice zajmowali małą sypialnię. Pomimo że część zajmowana przez jego rodzinę stała od prawie roku pusta, nigdy nie przyszło nam do głowy, żeby zająć te pokoje. Ich mieszkanie zostało w takim stanie, w jakim je zostawili. Mama tylko raz w tygodniu tam zaglądała i podlewała paprotki, chociaż sąsiadka jej o to nie prosiła. Jednak dla mamy było to oczywiste, że musi dbać o ich dom, przecież wojna kiedyś się skończy, wszystko powróci do normalności, a kwiaty odzyskają swoich właścicieli. Nasza sytuacja nie była wyjątkowa. Obecnie prawie co drugi dom stoi częściowo pusty, w każdym kogoś brakuje, w każdym na kogoś się czeka.

Nasz dom zbudowali moi i jego dziadkowie. Tata mamy był cieślą, z kolei jego dziadek pracował w tartaku. To był duet idealny. Budynek był wykonany z wielką precyzją i pasją swoich twórców. Dziadkowie budowali go z myślą o przyszłych pokoleniach, które będą w nim razem mieszkać. Zgodnie z ich wizją został podzielony

na dwa oddzielne mieszkania ze wspólnym strychem, który przez większość czasu był przestrzenią zajmowaną przez dzieci obu rodzin, a jesienią trzymaliśmy tam przetwory i suszone zioła.

Zanim otworzyłam drzwi do kuchni, raz jeszcze zerknęłam na schody prowadzące na strych i myślami wróciłam do naszego pierwszego pocałunku o zapachu suszonej lipy...

Tata jak zwykle pogrążony był w lekturze. Na nasz widok poprawił tylko okulary na nosie, które miał już na samym jego czubku, i skierował wzrok z powrotem na zapisane kartki.

– A ty znowu czytasz? Na to zawsze masz czas, ale raz w tygodniu do kościoła to już nie masz czasu iść?! Zobaczysz, przyjdzie nam zemrzeć, ja pójdę do nieba, a ciebie czeluści piekielne pochłoną i nie będziemy już razem!

– Dzięki Bogu... – powiedział tata z przekąsem, puszczając do mnie oczko i delikatnie uśmiechając się pod wąsem.

– Coś mówisz? – dopytała mama, ściągając chustę z włosów.

– Nic, kochanie, nic... Następnym razem na pewno się wybiorę.

Mama tylko machnęła na niego ręką i z zaciętą miną minęła ojca siedzącego przy stole, po czym ruszyła do sypialni. Już nie wierzyła tym jego zapewnieniom. Oj-

ciec przez całe swoje życie był pobożnym człowiekiem, ale wojna zmienia ludzi, zmieniła też jego.

– Ty wiesz, gdzie ona jedzie? Mówiła ci? Geniek, ty jej coś powiedz, bo ona chyba oszalała. – Donośny głos matki wydobywał się z głębi pokoju.

– Nie wiem, ale zapewne zaraz się dowiem – odpowiedział, przewracając kolejną stronicę książki. – Nie jestem tylko pewien, czy chcę to wiedzieć, ale rozumiem, że to bez znaczenia.

W tym momencie mama stanęła w progu kuchni, przewiązując fartuch wzdłuż brzucha.

– Geniek, ona się wybiera z Piotrem do getta!

Słowo „getto” mama wypowiedziała nienaturalnie cicho, jak gdyby sama nazwa tego miejsca stanowiła namacalne zagrożenie. Tata tylko na chwilę, prawie niezauważalnie przerwał czytanie i zatrzymał wzrok na jednym punkcie.

– Powiedz Piotrowi, że byłem wczoraj u niego z listem, ale dom był zamknięty, niech jutro przyjdzie na pocztę przed obiadem, to mu go przekażę – powiedział spokojnym głosem, po czym wrócił do lektury.

– Geniek, na litość boską, czy ty słyszysz, co ja do ciebie mówię, oni jadą do getta, mogą w ogóle nie wrócić, a ty nie reagujesz! – krzyczała mama coraz bardziej drżącym głosem.

– Kochanie, Piotr musi wrócić, bo przecież mam dla niego list – odpowiedział z pełną powagą, po czym

uśmiechnął się do mnie, a mama poczerwieniała i wyglądała, jakby za chwilę miała wybuchnąć, więc wolałam się szybko pożegnać i uniknąć bezpośredniego starcia między rodzicami.

Ucałowałam tatę w policzek, podskoczyłam szybkim ruchem do mamy i dałam jej buziaka w czubek nosa, po czym wybiegłam z kuchni. Gdy zamknęłam za sobą drzwi domu, wzięłam głęboki oddech i oparłam czoło o zdobiącą je drewnianą listewkę. Kątem oka widziałam, że Piotr zaprzęga konia do wozu. Zatem pora była ruszać.

Będąc po drugiej stronie kamiennej drogi, usłyszałam głos mamy.

– Henia, poczekaj!

Mama podbiegła do mnie i włożyła do ręki kilka banknotów.

– Daj to Złatej, powiedz, że... – Głos się jej załamał. – Powiedz, że modłę się za nią codziennie.

– Dobrze, powiem.

– Przytul mnie mocno i obiecaj, że nie zrobisz żadnej głupoty. Pamiętaj, mamy z ojcem tylko ciebie.

– Mamo, kocham was mocno, ale sama dobrze wiesz, że kocham też jego. Gdybym ja tam była, on zrobiłby to samo.

– Zrobiłby? – dopytała przerażona, łapiąc mnie za ramiona. – Proszę cię, nic nie rób! Zobacz się z nim i wracaj do mnie. Obiecuj, że wrócisz cała i zdrowa.

– Mamo, wróć. Zawsze będę przy tobie – wyszeptałam, wtulając się w jej miękkie ciało.

Zawsze. Nawet gdyby przyszło mi dziś umrzeć, próbując ratować jedyną osobę, dla której pragnę żyć. Skrycie proszę Boga, aby dane mi było chociaż go ujrzeć. Po raz ostatni spojrzeć mu w oczy i zobaczyć w nich swoje odbicie. Po raz ostatni usłyszeć, jak wymawia moje imię... Nie powiedziałam swoich pragnień na głos, ale podświadomie czułam, że mama mimo to słyszała każde moje niewypowiedziane słowo.

Odsunęłam się i posłałam jej pokrzepiający uśmiech. W tym czasie za naszymi plecami pojawił się drewniany wóz.

– Dzień dobry Piotrze! Wracajcie szybko! – przywitała się mama uprzejmie i odeszła w kierunku domu. Widziałam, jak ostatkiem sił próbowała nie wybuchnąć płaczem. Gdyby moje serce nie było już roztrzaskane w drobny mak, to w tym momencie by pękło.

– Dzień dobry, panienko! – Głos Piotra wyrwał mnie z odrętwienia. – Czyż nie piękny dzień, by oszukać śmierć?

Mężczyzna przełożył lejce do prawej ręki, a lewą wyciągnął w moją stronę.

– Dzień dobry panie Łada. W rzeczy samej. – Odwzajemniłam jego uśmiech i chwyciłam pomarszczoną, ciepłą dłoń.

Zielona sukienka znowu zatrzepotała muśnięta wiatrem.

ROZDZIAŁ 2

Śniadowo, 1 listopada 2018 roku

– Mamo! Chodź tu szybko! – zawołałam przerażona widokiem czarnej plamy w miejscu, w którym jeszcze niedawno znajdowało się żelazko.

– Co tu tak śmierdzi? – zapytała, wchodząc do swojej sypialni, w której zawsze była rozstawiona i gotowa do użycia deska do prasowania.

– Spaliłam ją! Sama zobacz. – Uniosłam do góry bordową sukienkę zakupioną dosłownie kilka dni temu w jednej z sieciówek. – Uwierzysz, że nie miałam jej nawet raz na sobie? Masakra! A najgorsze jest to, że nie mam co założyć do kościoła. Wzięłam tylko tę sukienkę.

– Nie wzięłaś nic więcej na weekend?

– Mam jeszcze szare welurowe dresy, ale chyba nie chciałabyś, żebym się tak zaprezentowała mieszkańcom Śniadowa w roczne święto. – Próbowałam wymusić z siebie odrobinę uśmiechu.

Mama chyba to sobie wyobraziła, bo otworzyła szerzej oczy.

– Pokaż mi ją! Może uda się jakoś ją uratować. – Podskoczyła do mnie jak oparzona, po czym wzięła sukienkę do ręki i przyłożyła do mojego ciała. – Szkoda, że plama jest tak wysoko, inaczej babcia mogłaby ją skrócić. Nie mogłaś niżej jej spalić?

– Mamo, to nie jest zabawne. – Opadłam załamana na stojące obok łóżko. – No i w czym ja pójdę?

– Może założysz coś mojego? – zaproponowała niepewnie.

– Mamo, nie obraż się, ale twoje ubrania będą wyglądać na mnie jak namiot. Jeszcze ludzie pomyślą, że nie dość, że twoja córka jest starą panną, to jeszcze z nieślubnym dzieckiem w drodze. Z drugiej strony nie byłabym wyjątkiem. – Zaśmiałam się na myśl o kontynuowaniu rodzinnej tradycji.

– Ty tutaj dobrego imienia twojej świętej pamięci prababki Henryki nie szargaj. Wiesz przecież, jak było.

– Wiem, wiem. – Podeszłam do zdjęć ustawionych na komodzie i wzięłam do ręki złotą ramkę z fotografią ślubną prababci, gdzie obok młodej pary stała mała dziewczynka z czarnymi, długimi lokami.

– Mam pomysł! – krzyknęła mama i szarpnęła mnie za rękę. – Idziemy na strych.

– Ale po co?

– Idź, nie marudź! Zobaczysz na miejscu.

Mama popędzała mnie ruchem ręki i wręcz wypchnęła ze swojej sypialni na wąski korytarz, na którego

JESTEŚ MIŁOŚCIĄ MOJEGO ŻYCIA. JEDYNYM
ŚWIATŁEM, KTÓRE ROZJAŚNIA MROKI WOJNY.

Jesienią 1942 roku młodzianka Henia podejmuje niesłychanie odważną decyzję – postanawia wydostać ukochanego Moszka z łomżyńskiego getta. Ryzykując własnym życiem, pomaga w ucieczce jeszcze jednej osobie – małej dziewczynce, dla której stanie się matką.

We trójkę przez wiele miesięcy ukrywają się odcięci od świata, zmagając się z kolejnymi przeciwnościami losu. Henia zmuszona będzie stawić czoła sytuacjom, na które żadna dziewczyna w jej wieku nie jest przygotowana. Jednak w imię miłości walczy ze wszystkich sił. Gdy nadarza się okazja wyjazdu za granicę, a w planach jest ślub, los ponownie zadrwi z pary zakochanych.

Wiele lat później w życiu Agaty, prawnuczki Heni, pojawia się tajemniczy Benjamin, który przyjechał z Izraela, aby poznać historię życia i miłości swoich przodków.

wydawnictwofilii.pl



Klub książki

ONA
CZYTA

Facebook.com/ONACZYTA

FILIA

cena 47,90 zł

ISBN 978-83-8357-406-6



9 788383 574066